

Adrian Sinkowski: Kochanie, od Polski nie da się uciec

Masłowska to pisarka, z którą trzeba się liczyć, nawet jeśli ktoś liczyć się z nią nie chce



Masłowska to pisarka, z którą trzeba się liczyć, nawet jeśli ktoś liczyć się z nią nie chce

O nowej powieści Masłowskiej, jak o samej autorce, powiedziano niemal wszystko – że to książka słaba (Leszek Bugajski), banalna (Dariusz Nowacki), że nadepnęła lewicy na odcisk (Olga Świącicka), a autorka sprzedała się (Kinga Dunin) i jest „córką Rydzyka” (internauci). Trudno oprzeć się wrażeniu, że szum, jaki pojawił się wokół powieści, udowodnił z pełną mocą, że mieliśmy do czynienia z wydarzeniem na

rynku wydawniczym, zjawiskiem bez precedensu, wręcz fenomenem. Powinno to cieszyć – w końcu ile takich fenomenów zdarza się w ciągu roku? Powinno i martwić, bo ile dowiedzieliśmy się o świecie, który opisała Masłowska?

Bohaterki „Kochanie, zabiłam nasze koty” na pierwszy rzut oka mają nierówno pod sufitem, są otępiałe, zagubione, życie przecieka im przez palce. Mówiąc wprost, Farah i Joanne nie mają dla siebie miłości. Wymagają od innych zainteresowania i oddania, podczas gdy same, od czasu do czasu dręczone wyrzutami sumienia, nie potrafią się nimi dzielić. Życie budują na paradoksie: z oferty fast foodu wybierają tłuste skrzydełka, ale popijają je świeżo wyciskany sokiem z owoców. Gardzą miastem, o którym Masłowska pisze, że jest mieszaniną śmieci, świeżo pieczonych muffinów, najdroższych perfum, ludzkiej kaki i żelastwa z bebeczków metra, a mimo to przyjmują z uśmiechem, gdy kloszardzi pogwizdując na nie, wbijają wzrok w kobiece kształty. Pracują poniżej oczekiwań i nie widzą nic złego w tym, że szef, który nadużywa alkoholu, w mało subtelny sposób domaga się, aby go pocieszać.

Masłowska raczej nie lubi postaci, które stwarza, lecz nie jest wobec nich całkowicie krytyczna. Może się wydać, że pragnie, aby Farah i Joanne znalazły to, czego szukają. Obie natomiast, choć na inny sposób, szukają czegoś, co wypełni pustkę, której doświadczają – szczególnie gdy Joanne znajduje partnera i ich drogi rozchodzą się. Życie jakie prowadzą bez większego namysłu pełne jest bełkotu na temat szczęścia, które można osiągnąć, rozpuszczając w myślach toksyczne uczucia. Albo: bełkotu na temat wygranych, które przychodzą w mailach (w rodzaju: wystarczy odpowiedzieć na pytanie, jak masz na imię). Joga, kawa na mieście, IMAX, żel do rąk przeciw

bakteriom – wpadają w rytuał, któremu nie sposób się oprzeć. Nawet jeśli coś im podpowiada, że wszystko dokoła nie jest do końca prawdziwe, czują, że inaczej się nie da.

Łatwo zamieść te problemy pod dywan – owszem, ludzie bywają zagubieni z własnej winy i głupoty. To banał jakich wiele. To jednak pierwsza strona medalu, trudno w rzeczy samej nie zgodzić się z twierdzeniem, że pustka, która oplata od wewnątrz Farah i Joanne, mówi coś o ludziach, których ten problem nie dotyczy. Czy bowiem Joanne, która odcina się od dawnego życia, mogła zapobiec temu, że Farah próbuje samookaleczenia, nawet jeśli kończy się ono żalosną próbą? To ciekawe pytanie wydaje się niestety puste, gdyż postaci, które trwonią czas na lekturze poradników i magazynów lifestylowych, to nie są postaci z krwi i kości. Nie można powiedzieć, że opresyjny system, w którym istnieją, tłamsi to, kim są. Jest dokładnie odwrotnie. Farah i Joanne to manekiny za szybą, które cieszą się, gdy ktoś je ubierze, nawet jeśli strój nie do końca im odpowiada. To udomowione koty, często kapryśne i narcystyczne, którym wydaje się, że chodzą własnymi drogami, podczas gdy są w istocie zależne od ręki tego, kto je dokarmia.

Farah ma sen, w którym czyta miłosne wyznanie zapisane na świstku papieru. Czyta je łapczywie, nie mogąc złapać oddechu aż w końcu odkrywa, że osoba, dla której list powstał, to Joanne. Zawód jest ogromny. Mężczyzna, który spisał te parę zdań chcąc mieć pewność, że Joanne nie odrzuci jego zalotów, próbuje się upewnić, czy list podobał się Fah. Czytając „Kochanie, zabiłam nasze koty” można mieć wrażenie, że Masłowska podsuwa nam powieść, a następnie przygląda się z ukrycia, jaka będzie reakcja czytelnika. Powieść bohaterki największego odkrycia w polskiej literaturze ostatniej dekady jest bowiem literackim

gagiem – to nie powieść, lecz misterna układanka. Autorka wtrąca kąśliwą uwagę na temat Farah i Joanne, która dotyczy tak samo jej książki: „ilekroć zdawało się już, że tematy się skończyły, i że nie ma już nic, co można by dodać, a wręcz znalazłoby się wiele, co bez szkody można by ująć, to zawsze jeszcze coś któregoś się przypominało”. Pasticz? Pewnie tak. Ale znajdują się pastisze wyższej próby.

Masłowska w wywiadzie dla „Lampy” podkreśliła, że konwencja, którą wybrała, pisząc „Kochanie, zabiłam nasze koty”, miała uwolnić powieść od świata religii czy upolitycznienia. Akcja książki rozgrywa się za oceanem, a świat, który powstał, to byt stworzony z odłamków, nierzadko skrajnie od siebie oddalonych, innej rzeczywistości z pogranicza snu i snucia się bez celu. Co istotne, uwolnienie od „polskich duchów”, odcięcie od podmiotowości, nawet jeśli może się ona niektórym wydać kolcami z opium, udowodniło, że ludzie bez właściwości stają się jak zwalista masa, od której można się najwyżej odbić. Im bardziej żyją w kulcie indywidualizmu, im bardziej kategoria narodu pojawia się w charakterze tandetnego gadżetu, tym masa ta rozrasta się i gęstnieje.

Masłowska nie widzi sensu w wypieraniu bólu ani winy. Pisarka we wspomnianym wywiadzie stwierdza na łamach „Lampy”, że nie lubi być zakładnikiem rzeczy. Pewnie tak samo nie lubi być zakładnikiem Polski, religii, Kościoła, polityki, tyle że w końcu zdaje sobie sprawę, że nie da się od nich uciec: „żyję w tym kraju i on z całą swoją historią codziennie przetacza się przez mój mózg” – wyzna na łamach „Rzeczpospolitej”. Ucieczka do innego świata nie jest zatem ucieczką z biletem w jedną stronę w rękę, jak chciało wielu piszących o nowej

powieści Masłowskiej. Być może nie jest to w ogóle ucieczka, ale sen, taki sam jak wizja Fah, po której przychodzi trudne i bolesne, a jednocześnie nieuniknione otrzeźwienie. Jednym słowem, życie.

Dorota Masłowska, „Kochanie, zabiłam nasze koty”, Noir sur Blanc, Warszawa 2012

Tekst ukazał się w najnowszym numerze Frondy

Adrian Sinkowski (ur. 1984). Poeta, publicysta. Redaktor kwartalnika literackiego „Wyspa”, członek zespołu „Frondy”, rzecznik prasowy Centrum Myśli Jana Pawła II. Publikował m.in. w pismach: „Odra”, „Twórczość”, „Kresy”, „Pogranicza”, „Pressje”, „Czas Kultury”, „Topos”, „Akcent”, „Kultura Liberalna”, „Fraza”. Autor, a potem uczestnik programu „W czuły punkt. Rozmowy o książkach” emitowanego w Foksal Eleven. Stypendysta m.st. Warszawy (2013), laureat projektu Połów dla poetów przed debiutem książkowym (2011), wyróżniony w konkursie Dolina Kreatywna w dziedzinie literatury (2008). Mieszka w Warszawie.